

Od Redakcyi.

Celem uregulowania nakładu, upraszamy o wczesne nadesłanie przedpłaty na następny kwartał. Prenumeratorów, zalegających z opłatą za pierwszy kwartał, prosimy o łaskawe wyrównanie jej w jak najkrótszym czasie. Nowo przystępujący prenumeratorowie otrzymają, póki starczy zapasu, początek powieści M. Daleckiej „Niewieście dusze“.

Dzisiejszy numer spóźnił się z powodów od Redakcyi niezależnych. Na przyszłość wychodzić będzie regularnie 1-go i 15-go każdego miesiąca.

RODZINA I JEJ ROZWÓJ HISTORYCZNY.

I.

»Nic nie jest — wszystko się staje«.
Heraklit.

Zasada przemiany, postępu ciągłego stawania się, jednem słowem ewolucyi, opanowało całą współczesną naukę. Nic stałego, określonego, pewnego; wszystko zmienia się, staje się, przeobraża się na formę doskonalszą, wszystko rozwija się: przyroda zarówno jak i duch ludzki — ustroje organiczne i społeczne — istoty i myśli. Darwin wprowadził ewolucyę w dziedzinę nauk przyrodniczych, burząc dawne pojęcie gatunków stałych i niezmiennych. Comte i Spencer zastosowali ją do nauk społecznych, uczynili z niej prawo powszechne, jedynie wyjaśniające ogół zjawisk. Obecnie przyczyny i skutki wiążemy ze sobą, śledzimy rozwój postępowy organizmów, najbardziej złożonych, zjawisk społecznych, najbardziej zróżniczkowanych — postęp idei podniosłych i głębokich — łączymy nawet dwa światy przez długie wieki rozdzielone, wyprowadzając i uzasadniając zdarzenia psychiczne i społeczne ustrojem fizycznym istot.

Historya współczesna opiera się na tej samej zasadzie. Przyjęto ogólnie, że obecny stan społeczeństwa, jako wynik długiej pracy ewolucyjnej, zdąża do form wyższych, doskonałych. Ideał społeczny coraz wznioślejszy stawia sobie ludzkość, a wysiłki, zdążające do urzeczywistnienia go, wywołują walki bohaterskie i gwałtowne rewolucye, które burzą dawny porządek świata z głęboką wiarą stworzenia na tych ruinach lepszej przyszłości. I nie widzimy kresu tej nieustającej ewolucyi społeczeństwa: obecnie zaznacza się ten rozwój głównie w kwestyach ekonomicznych, które usiłujemy rozwiązać w duchu demokratycznym, w imię sprawiedliwości, której hasło rozbrzmiewa od czasów rewolucyi francuskiej. Inne kwestye, dziś jeszcze nieuświadomione, przedstawią się z czasem, utrzymując ludzkość w ustawicznym ruchu i czynności, której kresu ani celu przewidzieć nie możemy, w pogoni za ideałem, w dążeniu do doskonałości niezniszczalnej i która zdaje się oddalać w miarę, jak się do niej zbliżamy. Ten pochód ewolucyjny, to stawanie się, tworzą życie, historyę i postęp.

Badanie przeszłości przedstawia nam się zupełnie w innej formie, niżeli naszym przodkom. Jesteśmy w okresie zupełnego przekształcenia się nauki historyi; nowa jej forma, socyologia, rozwija się — opierając badania swoje na odnajdywaniu długiej i mozolnej drogi rozwojowej, po której ludzkość szła, począwszy od pierwotnej dzikości, przez czasy barbarzyństwa, aż do najwyższego rozwoju cywilizacyi. Socyologia bada wszechstronnie rozmaite okresy ludzkiego życia, odtwarza starożytne formy polityczne i społeczne, odszukuje pierwsze proby wytłómaczenia życia w religiach pierwotnych; zajmuje się obyczajami, moralnością, życiem rodzinnem — pojęciami i zagadnieniami, które zajmowały człowieka od początku.

Jedną z najbardziej zajmujących jej stron jest ta, która zajmuje się rozwojem życia rodzinnego ludzkości. Poszukiwania na tem polu rozpoczęto zaledwie w 1870 roku, a otrzymany materyał jest już bardzo obfity i przedstawia podwójną korzyść, teoretyczną i praktyczną. Teoretycznie odtwarza rozmaite formy współżycia osób różnej płci — oparte na prawach naturalnych. Rodzina długo była uważaną jako komórka społeczna — przystosowuje się do środowiska, w którem powstaje — przeobraża się i rozwija z ogólnym postępem cywilizacyi — odzwierciedla ducha swojej epoki. Jest ona czynnikiem społecznym wielkiej doniosłości. — Co do strony praktycznej — to odszukanie rozmaitych faz rozwoju, przez jakie przechodziła rodzina w przeszłości, zachwiały wiarę w nienaruszalność jej w obecnej formie — przeniosły związane z nią kwestye z pola teologicznego na ściśle naukowe i pozwoliły spodziewać się w przyszłości doskonalszych jej form. Nadzieja, że węzły łączące członków rodziny, opierać się będą coraz więcej na samejże wartości człowieka, zbudziły pragnienie wyższej i czystszej etyki. Poszukiwania te pozwalają dążyć do uchylenia rozlicznych cierpień, wypływających z obecnego ustroju rodziny, do zmniejszenia udręczeń, którym zwłaszcza kobieta, jako słaba i uciśniona, podlega w dobie obecnej. — Są cierpienia, związane ściśle z życiem, których uniknąć nie jest

w naszej mocy. Inne wypływają ze złych urządzeń — z więzów, które ludzie sami zarzucają jedni na drugich — i tutaj zmiany, ulepszenia, postęp może i powinien dążyć do usunięcia złego.

Szkoła materyalistyczna w historyi dąży do postawienia wszystkich zjawisk społecznych na gruncie ekonomicznym; rozwój rodziny zależnym czyni od wpływu potężnych czynników ekonomicznych, forma jej i ustrój są w ścisłej łączności ze sposobem wytwórczości. Rodzina jest jakby spółką ekonomiczną, przeobrażającą się według materyalnego życia społeczeństwa. Powyższe twierdzenie rozwinięte zostało przez Engelsa i Morgana, których znakomite prace przyczyniły się ogromnie do rozświetlenia wielu ciemnych punktów w sprawie ewolucyi rodziny. Jest to fakt niezaprzeczony, że warunki ekonomiczne mają przeważny wpływ na rozwój obyczajów, urządzeń społecznych, na życie umysłowe i moralne ludów. Nie są to jednak jedyne bodźce, wprawiające w ruch różnorodne zjawiska społecznego życia — pojęcia religijne, rozliczne uczucia i pojęcia, odgrywają niepoślednią rolę w rozwoju, który się dokonywa. Pojęcie materyalistyczne jest więc za ciasne, obejmuje rzecz z punktu widzenia zbyt ograniczonego — wyłącznego, zwróciło jednak uwagę na czynniki ekonomiczne, których doniosłość jest już stwierdzona przez poważnych badaczy. Fustel de Coulanges oświetla kwestyę zupełnie z innej strony, przypisuje wszelki rozwój idei religijnej, która oddziaływając potężnie na umysły, budowała fundamenta wszystkich urządzeń społecznych.

Rodzina monogamiczna, jaką widzimy dzisiaj, ugruntowana na władzy mężczyzny, rozwijała się równolegle z cywilizacyą i od samego początku ma ten charakter, że monogamiczną jest tylko dla kobiety. Ukazuje się w historyi nie jako zjednoczenie obu płci — ale jako podporządkowanie jednej płci drugiej, jako zupełnie uzależnienie kobiety od woli mężczyzny.

W społeczeństwach starożytnych grecko-rzymskich, kobietę i dziecko uważano za istoty niższe, za własność pana domu, dopiero z biegiem czasu wywiązały się formy wyższe, swobodniejsze. W epoce współczesnej cywilizacyi ustawy małżeńskie i rozwodowe, nadają rodzinie coraz wybitniejsze cechy dobrowolnej umowy, zawartej między osobami intesowanemi; związane z niemi formalności tracą coraz więcej cechy formalne i sakramentalne, ustępując miejsca swobodzie i odpowiedzialności osobistej. Nasze współczesne małżeństwo, oparte na prawie rzymskiem, dopiero od soboru trydenckiego zaliczonem zostało do Sakramentów i uznanem za legalne, tylko jeżeli jest uświęconem przez Kościół. Z aktu cywilnego stało się tajemnicą religijną. — Obecnie pojęcie małżeństwa zaczyna przeobrażać się pod wpływem przyrodniczo-naukowego rozpatrywania zagadnień życia i ustępuje miejsca idei małżeństwa cywilnego, które nie jest nowością, jak to ogólnie mniemają, tylko przywróceniem dawnej formy w doskonalszej postaci. Małżeństwo dąży do przeobrażenia się na związek równych sobie osób, mających względem siebie równe prawa i obowiązki.

Przeszłość tworzy przyszłość; śledząc rozwój społeczeństwa w epokach ubiegłych, można wyprowadzić niektóre wskazówki na przyszłość. Powolna praca rozwoju rodziny coraz wybitniej zaznacza dążenie do poszanowania wolności osobistej kobiety, do jej wyzwolenia — małżeństwo monogamiczne jest doskonałą formą, do której dąży rodzina, ale ugruntowane na równości i wolności, a nie na przemocy i przymusie. Według określenia Spencera, rodzinę wiązać ma miłość, nie prawo. Ewolucya ta spełnia się powoli, równolegle z przeobrażeniami całego ustroju społecznego i ze zmianą, jaka się dokonywa w pojęciach opinii publicznej. Nie można zburzyć rodziny, jedynego schroniska dziecka — należy tylko ugruntować ją na swobodzie i miłości, aby dać jej atmosferę zdrowia, siły i dobra. *H. W.*

TEODORA MĘCZKOWSKA.

O SZKOŁACH MIESZANYCH.

I.

Wskutek warunków dziejowych, stosunek pomiędzy kobietą a mężczyzną tak się ukształtował, takie przybrał cechy, że dziś rozbudzona świadomość etyczna nie może się z nim pogodzić.

Zarówno w czynach, jak i słowach zaznaczamy różnicę pomiędzy chłopcem a dziewczyną, mężczyzną a kobietą. Mamy dla kobiet inną naukę, odmienną etykę, specyalne prawa i obowiązki.

Przywykłszy raz do takiego stanowiska, nie możemy się z niem rozstać, nie możemy zrozumieć, ile w niem kryje się obłudy i egoizmu.

Wychowawcy i nauczyciele, którzyby mogli najwięcej w tej sprawie zdziałać, zachowują się w najlepszym razie biernie, najczęściej jednak sami te różnice podkreślają; rodzina, otoczenie — robi to samo: stoi na straży tradycyi i przesądu. A postęp moralny na tem cierpi; cierpi, bo nie może być mowy o wysokiej kulturze moralnej tam, gdzie wychowuje się »mężczyzn« i »kobiety«, gdy natomiast należy wychowywać »ludzi«.

Na zmianę tych stosunków mogłaby, zdaniem naszem, wpłynąć przedewszystkiem koedukacya.

O ile wiem, kwestya wspólnego kształcenia chłopców i dziewcząt, nie była u nas nigdy obszerniej poruszana. A jednak zagranicą ludzie dużo o tem myślą, dużo piszą, dużo mówią i myśli w czyn wprowadzają. Koedukacya jest powoli wprowadzana prawie we wszystkich państwach Europy i Ameryki Północnej.

Już w 1895 r. mamy w Ameryce 93% szkół mieszanych w dużych miastach i 75% w małych. Ankieta, przeprowadzona w 1893 r. w Ameryce Północnej, wykazuje, że koedukacya istnieje we wszystkich szkołach publicznych w 32 stanach, a w 13 stanach jest prawnie uznana, w rzeczywistości jednak istnieją tam prócz mieszanych, oddzielne szkoły dla dziewcząt, oddzielne dla chłopców. Co się tyczy wyższych zakładów naukowych, dane statystyczne wykazują, że z 415 uniwersytetów i kolegiów, 256 dopuszcza kobiety do wspólnej nauki.

W Danii z 85 szkół średnich, 55 jest mieszanych. W Finlandyi znajdujemy koedukacyę w 32 średnich szkołach i 40 przygotowawczych. Do Norwegii wprowadzono koedukacyę w 1884 r., do Szwecyi w 1876 r. W Sztokholmie istnieje gimnazyum 9-klasowe, wspólne dla chłopców i dziewcząt.

Przyjrzyjmy się, w jakich warunkach, pod wpływem jakich czynników wprowadzono koedukacyę do szkół w różnych państwach europejskich.

Pierwsze miejsce pod tym względem zajmuje Finlandya i Szwajcarya.

Pierwsza szkoła mieszana w Finlandyi została założona w 1883 roku, z inicyatywy osób prywatnych, po zaciętej walce z rządem i opinią ogółu. Od tego czasu upłynęło lat zaledwie 18-cie, a wspólne kształcenie zyskało w tym kraju prawo obywatelstwa. Obecnie znajdujemy tam szkoły mieszane prawie wszędzie. Szkół mieszanych średnich jest przeszło 30, a liczba uczącej się młodzieży przechodzi 3000, co wobec 2 milionów mieszkańców stanowi liczbę pokaźną.

Szkoły te pozyskały sobie zupełne zaufanie rodziców, państwo jednak dotąd nie bardzo je popiera. To też znajdują się one przeważnie w rękach osób prywatnych lub stowarzyszeń. Jedne z tych szkół przygotowują do uniwersytetu, inne dają swym uczniom pewien całokształt wiedzy. Szkoły mieszane są więcej uczęszczane, niż szkoły męskie lub żeńskie, chociaż są droższe. Dziś łatwiej jest wyliczyć te miasta, w których szkół mieszanych niema, aniżeli te, w których się one znajdują.

Na uniwersytecie w Helsingforsie studyowało w 1894/5 105 kobiet.

W Szwajcaryi istnieje koedukacya od dawna. T. zw. »écoles primaires« (8 lub 9-klasowe) są prawie we wszystkich kantonach mieszane. Do tych szkół uczęszczają dzieci do lat 15, 16. Pod tym względem dane faktyczne tak się przedstawiają: W Kantonie Wallis i Tessin przeważają oddzielne szkoły dla chłopców, oddzielne dla dziewcząt; we Fryburgu, Zug, Szwyz jest prawie tyle szkół mieszanych, co i szkół innego typu. W Genewie zaledwie $^1/_8$, a w Neuenburg połowa szkół początkowych należy do typu mieszanych. Zurych, Lucerna, Glarus, Solothurn, Szaffhausen, Graubünden, Bern i Appenzell mają prawie wyłącznie szkoły mieszane. W kantonie Vaud na 1007 klas początkowych, przypada 825 mieszanych.

Do męskiego gimnazyum klasycznego w Bernie i w St. Gallen przyjmowane są dziewczęta. Wogóle koedukacya w szkołach wyższych spotyka się w 15 szwajcarskich kantonach. Seminaryum kantonalne nauczycielskie w Zurychu miało w ostatnich czasach 30 uczenic. Dotąd jednak na czele prawie wszystkich szkół mieszanych stoją mężczyźni. Glarus i Appenzell mają wszystkie szkoły początkowe mieszane, lecz niema w nich ani jednej nauczycielki. W Schaffhausen na cały kanton jest zaledwie jedna nauczycielka.

Niektóre szkoły zawodowe męskie przyjmują dziewczęta, n. p. szkoła rzemieślnicza w Zurychu ma przeszło 300 uczenic. W szkołach artystycznych w Genewie są kobiety dopuszczane na niektóre oddziały, n. p. na oddział sztuki stosowanej.

Uniwersytety szwajcarskie otworzyły od dawna swe podwoje dla kobiet (1865). To też dziś w niektórych uniwersytetach liczba kobiet równa się prawie liczbie mężczyzn. W 1898/9 roku szkolnym było w Szwajcaryi na ogólną liczbę 4438 słuchaczów, 937 kobiet, w 1899/900 liczba słuchaczów wzrosła do 4804, w czem kobiet było 1184.

Wobec tego, iż Szwajcarya ma szkoły różnego typu, dostarcza nam ona niezmiernie ciekawego materyału porównawczego. Zaznaczyć jednak należy, ze zjawienie się nowego typu szkoły nie zawsze jest uwarunkowane przez względy pedagogiczne. Ważniejsza częstokroć rola przypada w udziale czynnikom natury ekonomicznej. Tam, gdzie w jednej szkole jedna osoba może zadaniu podołać, niema nawet mowy o podziale dzieci według płci. W niektórych kantonach przyjęto za zasadę, że wtedy otwiera się oddzielna szkoła dla dziewcząt, gdy liczba dzieci przekracza 60.

W Holandyi, w prowincyach protestanckich koedukacya rozpowszechnia się coraz bardziej. Państwo bardzo popiera nowy typ szkół. S z k o ł y ś r e d n i e s ą p r z e z r z ą d s u b w e n c y o n o w a n e, o i l e s ą m i e s z a n e. To samo dotyczy szkół wiejskich. Kobiety są przyjmowane do lyceów i gimnazyów. Tylko prowincye katolickie, Limboury i Brabant nie dopuszczają kobiet do lyceów. Niektóre szkoły średnie, gimnazya i kolegia, mają dwie sekcye równoległe: jedną męską, drugą kobiecą. Cztery uniwersytety holenderskie, w Leyden, Groningen, Utrecht i Amsterdamie, przyjmują kobiety na równi z mężczyznami. W Belgii mamy to samo-

na południu, gdzie ludność jest katolicka, niema wcale szkół mieszanych, w innych częściach Belgii powstaje takich szkół coraz więcej. W roku 1876 zostały kobiety dopuszczone do uniwersytetu w Gandawie i Lież; w 1880 roku w Brukseli. Od 1882—89 r. studyowało na tych uniwersytetach 156 kobiet. W Szwecyi i Norwegii powstają szkoły mieszane pod wpływem Finlandyi. W Norwegii od roku 1884 mają dziewczęta dostęp do szkół męskich, subwencyonowanych przez państwo. Z tego korzystają one głównie w tych miejscowościach, gdzie względu ekonomiczne nie pozwalają na zakładanie oddzielnych szkół żeńskich. Pierwszą próbę uczyniło miasto Brewik w Norwegii, gdzie powstała pierwsza szkoła średnia dla dziewcząt i chłopców. Od 1897 r. ministeryum oświaty bardzo popiera szkoły mieszane. Kurs oraz ilość godzin nauki są zupełnie zrównane dla obu płci. Wszystkie gimnazya męskie przyjmują dziewczęta.

W Szwecyi od r. 1873 mają kobiety dostęp do uniwersytetu. Dwa najstarsze uniwersytety, Lund i Upsala, przyjęły pierwsze kobiety na studya.

W Norwegi uczęszczają kobiety na studya uniwersyteckie dopiero od r. 1880.

W Danii od dawnych czasów było bardzo dużo szkół mieszanych po wsiach. A ponieważ większa częśc ludności jest rolnicza, więc bez przesady powiedzieć możemy, że znacza część dzieci duńskich otrzymuje wspólną edukacyę. Szkoły średnie są zakładane tylko dla chłopców, bo nauka dziewcząt odbywa się przeważnie w domu. Jedyna szkoła wyższa dla dziewcząt istnieje w Kopenhadze; tu muszą udawać się te wszystkie dziewczęta, które chcą się wyżej kształcić. Obecnie, gdy coraz więcej kobiet dąży do wyższego wykształcenia, a ne zakładanie dla nich szkół niema środków, zaczęto w niektórych miejscowościach dopuszczać dziewczęta do szkół męskich, głównie do klas wyższych. Początkowo nauka była wspólna, lecz poza godzinami lekcyj dziewczęta były oddzielone od chłopców. Dziś mamy tam już i inne szkoły, gdzie nauka i zabawy są wspólne (szkoła panny Adler, założona w 1893 r. i wyższa szkoła ludowa Askov'a, która miała w 1896/7 r. 92 uczniów i 60 uczenic). Nadto kobiety są dopuszczane na posady nauczycielek w wiejskich szkołach męskich, gdy dawniej nawet w żeńskich wyższych szkołach wykładali wyłącznie mężczyźni. Przytem nowopowstające szkoły żeńskie są coraz bardziej zbliżone do typu szkół męskich. W Danii od roku 1875 mają kobiety dostęp do uniwersytetów.

We Włoszech sprawę koedukacyi posuwa naprzód nędza. Szkoły początkowe dla biednych, a tych jest najwięcej, są wspólne dla dziewcząt i chłopców. Również te same względy sprawiają, że kobiety dopuszczane są do liceów, gimnazyów i szkół artystycznych. Wyłącznie dla kobiet istnieje tylko jedno gimnazyum. Wyższe szkoły politechniczne są dla kobiet otwarte, jak również szkoły realne i gimnazya, które do politechniki przygotowują. Uniwersytety włoskie przyjmują kobiety; najwięcej studentek liczą uniwersytety w Turynie, Padwie, Bolonii i Pizie.

We Francyi 20.000 szkół początkowych jest mieszanych. Prawo zezwala, by gminy, liczące mniej niż 500 mieszkańców, utrzymywały jedną szkołę wspólną dla dziewcząt i chłopców. Francya posiadała wzorowo prowadzoną szkołę mieszaną »Orphelinat Prevost de Cempuis« w Pikardyi. Zakład ten powstał z funduszu zapisanego w 1875 r. departamentowi Sekwany przez bogatego filantropa I. G. Prevost. Szkoła ta była przez pewien czas przedmiotem zaciętych sporów, a to głównie z tego powodu, że dyrektor, Paul Robin, konsekwentnie przeprowadzał zasadę równości obu płci nawet w szczegółach.

O tej szkole mówi Giroud: »Zakład w Cempuis jest najsympatyczniejszym urzeczywistnieniem tych ideałów pedagogicznych, jakie dotychczas uważano za możliwe tylko w teoryi.

Kierownicy tej szkoły byli przejęci jak najlepszemi chęciami, chodziło im przedewszystkiem o dobro moralne uczniów. Urządzenia szkoły odpowiadały wszelkim wymaganiom hygienicznym. W lecie, o ile warunki na to pozwalały, nauka odbywała się

na świeżem powietrzu. Wykłady były niezmiernie urozmaicone, wiadomości podawane w formie przystępnej, lecz ścisłej. Usiłowania skierowane były na wyrobieniu samodzielności umysłowej uczniów.

Wszystkie dzieci traktowano zupełnie jednakowo. Przy wyborze zabawy, nauki, nawet zawodu, nie kierowano się nigdy różnicą płci, lecz uwzględniano jedynie pragnienia, zamiłowania uczniów. Nie broniono dziewczętom uczenia się tych nauk, obierania tych rzemiosł, do których zazwyczaj biorą się mężczyźni. Kierownik szkoły, Paul Robin, utrzymywał, że chłopców i dziewczęta należy tak wychowywać, aby kobieta w wielu czynnościach mogła zastępować mężczyznę, mężczyzna zaś kobietę. Praca w warstatach obowiązywała zarówno dziewczęta, jak i chłopców. Nie było tu zwykłego rygoru szkolnego, do którego ogół jest tak bardzo przyzwyczajony. Dzieciom pozostawiano możliwą swobodę, a to w przeświadczeniu, że tylko tą drogą można z nich wykształcić samodzielnych niezależnych ludzi.

Oprócz tego istnieją we Francyi różne kursa mięszane, n. p. kursa dla dozorczyń i dozorców, szkoła sztuk pięknych etc.

W 1863 roku zostały kobiety dopuszczone na wydział literacki w Paryżu z prawem zdawania egzaminu. Następnie i inne wydziały zaczęły przyjmować kobiety. Na wydziale medycznym w Paryżu było w ciągu dziesięciolecia od 1868—1878 r. — 32 studentki, a w ciągu 6-ciu lat od 1888—1884 było 183 studentki.

Anglia ma dziś już bardzo wiele szkół mieszanych, zarówno początkowych, jak i średnich. Jedną z bardziej znanych jest Ecole de Blakwell.

Na studya uniwersyteckie zostały kobiety dopuszczone w Anglii w 1876 r. Naprzód otworzył im swe podwoje Trinity College w Dublinie, a w 1878 r. uniwersytet londyński. Kiedy otwarto kobietom wstęp na uniwersytet w Cambridge, wykłady dla nich były oddzielne. Profesorowie byli zmuszeni powtarzać dwa razy to samo. Po pewnym czasie zażądali oni pod pretekstem obaw o własne zdrowie, by im pozwolono ograniczyć się do jednego wykładu, na który mogliby uczęszczać mężczyzni i kobiety. Zmiana okazała się praktyczną i utrzymała się. W Irlandyi w 1884 r. kobiety zostały dopuszczone do University of Irland. W 1896 r. zdawało egzamin 333 kobiet. Do szkół mieszanych należy zaliczyć i Victoria College, gdzie większość kobiet przygotowuje się do Uniwersytetu razem z mężczyznami. W Niemczech koedukacya jest niezmiernie mało rozpowszechniona. Mamy tu tylko początkowe szkoły wspólne dla dziewcząt i chłopców. W ostatnich dopiero czasach dają się słyszeć głosy, domagające się takiej reformy. Pomiędzy innymi prof. Paul Bergemann z Jeny zaznacza w swych odczytach etycznych, że takie łączenie młodzieży byłoby pożądanem z wielu względów. Uniwersytety niemieckie czynią wszystko, by możliwie utrudnić dostęp kobietom. A jednak liczba kobiet na uniwersytetach stale wzrasta. W samych Prusach studyowało w roku 1895—96 — 117 kobiet, w 1898—99 — 414, a w 1899—1900 — 664 kobiet.

W październiku w 1901 r. na posiedzeniu postępowych stowarzyszeń kobiecych odczytany został przez pannę Helenę Stoecker referat w sprawie koedukacyi. Po dyskusyi nad tym referatem uchwalono wniosek, że należy starać się o wprowadzenie wspólnego kształcenia obu płci, albowiem dzięki koedukacyi podnosi się poziom moralny mężczyzny i życia rodzinnego.

Ameryka północna jest właściwie dotąd jedynem krajem, gdzie szkoły mieszane powstały nie przypadkowo nie dla przyczyn ekonomicznych, lecz dzięki przeświadczeniu, że takie właśnie szkoły mogą przynieść prawdziwy pożytek, być istnym czynnikiem wychowawczym. Dlatego też szkoła mieszana nie jest tu tolerowanym, lecz bardzo pożądanym typem. Znaczna część szkół początkowych (prawie $^3/_4$) w Ameryce należy właśnie do tego typu. W tych szkołach uczą się dzieci do lat 14—15-tu. Z 628 szkół, założonych przez gminy 586 przyjmuje chłopców i dziewczęta.

W Stanie St. Francisco i Wilmington tylko szkoły początkowe są mieszane. Wszystkie szkoły wiejskie są również mieszane. Nawet w szkołach prywatnych jest koedu-

kacya bardzo rozpowszechniona, co dowodzi, że i wówczas, gdy pozostawiony jest wolny wybór, amerykanie przekładają ten typ szkoły nad inny. Szkoły średnie: seminarya, akademie są albo mieszane albo przeznaczone wyłącznie dla chłopców lub dziewcząt. Wogóle zauważyć można, że koedukacya jest bardziej rozpowszechniona na północy i zachodzie, gdy przeciwnie na południu Stanów Zjednoczonych i na wschodzie spotykamy przeważnie szkoły specyalnie męskie lub żeńskie. W roku 1880 — 51,3% szkół wyższych jest mieszanych, a w r. 1890 — 65.5%. Koło Chicago w Galesburg znajduje się zakład mieszany »Knox-College«, założony przez George Galle. W chwili otwarcia było uczniów 40-tu, obecnie jest ich 600.

Niedaleko Filadelfii w Swarthmore-college uczą się chłopcy i dziewczęta.

Pierwszym wyższym zakładem, który dopuścił kobiety było kolegium w Oberlinie (Ohio).

Kolegium oberlińskie zostało założone przez grupę ludzi, na czele których stał Jan Schipperd, a którzy chcieli odrodzić kościół przez wychowanie. Kolegium i miasto, w którem szkoła powstała otrzymało nazwę Oberlin na pamiątkę francuskiego pastora Oberlina. W r. 1833 liczyło to kolegium 33 uczniów, płci obojga, liczba ta wzrosła w roku 1870—71 do 1250 uczniów płci obojga.

Najwięcej uczęszczany jest oddział przygotowujący do zawodu nauczycielskiego. Z kolegium Oberlińskiego wychodzi co rok największa ilość nauczycieli i nauczycielek. Do tego kolegium są przyłączone: szkoła sztuk pięknych, szkoła rolnicza i szkoła normalna dla nauczycieli.

W kolegium Oberlińskiem kształci się młodzież od lat 15 do 18. Na czele kolegium stoi dyrektor i przełożona.

Dr. Fairshild, prezydent Oberlińskiego kolegium takie wypowiada zdanie: Podczas mojej 8-letniej działalności w charakterze profesora języków starożytnych, nauk filozoficznych i etycznych, jak również podczas mojej 11-letniej pracy w matematyce oderwanej i stosowanej nie zauważyłem żadnych innych różnic u obu płci, jak tylko w sposobie przedstawienia przedmiotu.

Szkoły mieszane mamy i w New-Yorku. W niektórych miastach n. p. New-Hawen i Chicago prawie wszystkie szkoły są mieszane. W Bostonii w 1867 r. z 20-tu istniejących szkół gramatyki, 7 było przeznaczonych wyłącznie dla chłopców, 7 dla dziewcząt, a 6 było mieszanych.

W seminaryach nauczycielskich Ameryki kształcą się przeważnie kobiety i mężczyzni razem, przyczem kobiety liczebnie przewyższają mężczyzn.

Do seminaryów przyjmowaną jest młodzież już od lat 14-tu. Wykłady prowadzą nauczyciele i nauczycielki.

Uniwersytety amerykańskie już od dawna przyjmują kobiety. Obecnie liczba kobiet studyujących razem z mężczyznami dochodzi do 37.000. Pierwszym uniwersytetem, który otworzył swe podwoje dla kobiet był uniwersytet w Michigan.

W 1887—8 r. szkolnym na 5563 kobiet kształcących się w wyższych zakładach naukowych w Stanach zachodnich 4400 słuchało wykładów razem z mężczyznami.

W uniwersytecie w Chicago na 2500 słuchaczów jest 1000 kobiet; w Stanie Michigan w Anu Arbor na 3000 słuchaczów mamy 700 kobiet.

W Kanadzie od lat 15-tu kobiety mają dostęp do 5 uniwersytetów. W 3 uniwersytetach wykłady są wspólne dla mężczyzn i kobiet. Do studyów uniwersyteckich przygotowują się przeważnie dziewczęta razem z chłopcami w szkołach średnich.

Niezwykłe rozpowszechnienie szkół mieszanych w Ameryce jest ściśle związane z poglądami amerykanów na stanowisko kobiety w społeczeństwie. Przeciwnik koedukacyi prof. Waetzoldt z Magdeburga ubolewa nad tem, że nie spotkał ani jednego amerykanina, któryby koedukcyi nie uważał za rzecz najnaturalniejszą w świecie.

LILI BRAUN: KWESTYA KOBIECA.

II.

Historya zarobkowej pracy kobiet jest ściśle z historyą kapitalizmu związaną. W jego to usługach puszczono w ruch z końcem 18-go wieku te liczne maszyny, których wynalazek zmienił do gruntu charakter społecznej wytwórczości, w jego usługach jęły się tysiące wywłaszczonych nowej roboty, w jego usługach stanęło w końcu obok męża i brata do pracy fabrycznej — kobieta. W przemyśle tkackim spotykamy zarobkową pracę kobiet, jako zjawisko masowe już w zaraniu kapitalistycznej ery. Nizkie płace, organicznie niemal z chałupnictwem* zrośnięte — (w tej to formie święcił kapitał swe pierwsze tryumfy), zmusiły kobiety i wtedy, gdy już kądziel przed Spinning-Jenny ustąpiła miejsca do brania udziału w zarobkowaniu męzkich swych żywicieli, do towarzyszenia mu następnie do warstatów i fabryk. Taniość ta, niestety i dzisiaj jeszcze najcharakterystyczniejsza cecha kobiecej pracy czyniła podaż jej rąk pożądaną i obniżała równocześnie cenę pracy męzkiej współzawodnictwem uległych, nie skorych nawet do szemrania istot, o małych wymaganiach życiowych i nierzadkich zasiłkach rodziców lub męża. Ściągnęło to na kobietę niechęć i niemal, że wzgardę ze strony lepiej płatnych, zorganizowanych w syndykaty robotników. W Anglii, celem obrony *standard of life* statuta licznych syndykatów nietylko wykluczyły kobietę jako szkodnika ze swego grona, ale nawet zabroniły członkom swoim pracy u przedsiębiorców, zatrudniających kobiety. Podobne stanowisko względem pracy kobiet zajęli również niemieccy rzemieślnicy w r. 1848. I tu wszczęła się przeciw tym »szkodnikom« walka, różna w formie, ale nader zbliżona do tamtej treścią — i tak samo, jak tamta bezskuteczna.

Tendencya zwyżkowa zarobkowej pracy kobiet jest widoczną w wszystkich kulturnych krajach. Według ostatnich spisów ludności wzrosła w przeciągu dziesięciolecia cyfra zarobkujących kobiet w Austryi z 3,642.864 na 5,310.639, w Niemczech z 4,408.116 na 5,293.277, w Francyi 3,735.904 na 4,287.006 i t. p. Zdjęty przez p. Braun inwentarz pracy kobiet jest dla nas tem ciekawszy, iż wykazuje ogromną stosunkowo rozciągłość pracy ręcznej kobiet w Austryi. Na 100 tej kategoryi zarobkujących, przypada w Niemczech 36, w Francyi 34, w Anglii 37, w Ameryce 24, w Austryi zaś 54 kobiet! Austrya, tak troskliwie broniąca dotąd kobiecości swych obywatelek przed zgubnym wpływem uniwersyteckich, ba nawet średnich studyów, przewyższa rozmiarami zarobkowej pracy kobiet wszystkie inne cywilizowane kraje.

Statystyka, która tak często lubi figle płatać wymownym językiem cyfr, kłam zadając różnym utartym lub w modę wchodzącym twierdzeniom, potwierdza tymczasem jedną z najczęściej spotykanych skarg filisterskich. Utyski-

* Przemysł domowy.

wanie na »brak sług« zyskuje w świetle zebranych przez p. Braun cyfr swą statystyczną sankcyę, w fakcie zaś coraz to silniejszego napływu do handlu i przemysłu ma dostateczne wytłumaczenie. W Austryi n. p. przypadało w r. 1880 na 100 zarobkujących kobiet 15 służących, w r. 1890, mimo ogólnego przyrostu robotnic, już tylko 7.

Charakterystyczną jest różnica wieku zarobkujących kobiet w poszczególnych krajach. W Niemczech połowa przeszło zarobkujących, to młode dziewczęta, marzące może wśród najcięższej pracy o zamążpójściu, o schludnej izdebce, o lepszej przyszłości. W Austryi zaś ciężkie brzemię najemnictwa spoczywa przeważnie na barkach starszych i zamężnych kobiet, które widocznie dopiero bieda od gospodarstwa oderwała i w pogoń za kawałkiem chleba popędziła. Znaczny procent wyrobnic dziennych, posługaczek i t. p., smutnych egzystencyi proletaryackich, chwytających, co się zdarzy, przemawia za tym przypuszczeniem.

Ile się i u nas kobiet ciężkiej pracy ima myśląc o jutrze, które może coś zgoła odmiennego przyniesie, z obojętnością dla warunków życia zawodowego, które w pragnieniach tak chętnie się na inne zamienia — któraż statystyka tę cyfrę poda? Mówią o niej chyba luki w organizacyach zawodowych, oporność a nawet niechęć w obec syndykatów, które kiedyś kobiety wykluczały, a teraz dziwną sprawiedliwością losu — często daremnie się kuszą o pozyskanie kobiet dla walki o wspólną sprawę. Zjawisko to powtarza się w wszystkich krajach równocześnie i wszędzie składa się nań kompleks tych samych przyczyn. Dorywczy charakter zarobkowania, brak kwalifikowanych sił, chałupnictwo, izolujące i rozpraszające, a w końcu przeciążenie pracą zarobkową i domową, czynią wszędzie z kobiet masę nieruchomą, bezbronną i najłatwiej się wszelkiemu uciskowi poddającą.

Francya i Stany Zjednoczone Ameryki północnej posiadają najznaczniejszy procent, kobiet zajętych w przemyśle i handlu, w Austryi zaś i w Niemczech szukają dotąd jeszcze kobiety głównie zarobku na roli. Widoczną jest, zdaniem p. Braun, w przemyśle tendencya koncentrowania pracy kobiet na pewne zawody, tak, iż już teraz zarysuwuje się różnica między obsadzonymi przez mężczyzn zawodami, a wyłącznie lub przeważnie przez kobiety. Za specyficznie kobiece zawody uważać można już teraz konfekcyę damską i dziecinną, białe szycie, koronkarstwo, wyrób kwiatów i piór; w przyszłości zaś introligatorstwo, fabrykacyę papieru, kauczuku i gutaperki. Z tych zawodów praca kobieca ruguje swą taniością i zręcznością pracę męzką, do innych zaś broni kobietom przystępu brak odpowiednich sił fizycznych.

Tendencya różniczkowa, której p. Braun ogromną rolę wróży, niema wszakże absolutnego znaczenia. W przemyśle przędzalniczym n. p., gdzie już od tak dawna kobieta obok mężczyzny pracuje, przyrost nowych sił roboczych rozdziela się równomiernie na obie płcie i u obu widoczną jest jednakowa zdolność przystosowywania się do nowych wymogów produkcyi.

Tam, gdzie płaca najlichsza, a dzień roboczy najdłuższy, tam nieomylnie spotkać można przy pracy kobietę — nic więc dziwnego, iż w chałupnictwie zarobkowanie kobiet wykazuje silną tendencyę zwyżkową. W starych zwłaszcza i zamierających już formach chałupnictwa staje do porzuconej przez mężczyzn pracy kobieta, opóźniając rozpaczliwą swą walkę o egzystencyę społeczny postęp. W chałupniczem tkactwie n. p. praca kobiet ciągle jeszcze stosunkowo wzrasta, choć już mężczyźni tłumnie odeń do maszyn i lepszych zarobków uciekli. W fabrykacyi tytoniu, pudełek, nizka płaca kobiet opóźnia taniością sił roboczych stosowanie na wielką skalę maszyn, a tysiące nóg, naciskających cierpliwie przy szyciu kilkanaście godzin na dobę pedały, czynią wprowadzenie motorów »nieekonomicznem«.

Długim szeregiem ciągną przed nami chałupniczki, najemnice, sklepowe, służące, kelnerki — długim szeregiem poszczególnych zajęć, które się na jeden straszny obraz nędzy składają. Wszędzie te same niedostateczne płace, niszczący swą długością dzień roboczy, niehygieniczne warunki pracy, ciasne mieszkanie i jako ostateczny »ratunek« — prostytucya! Nie jest ona zjawiskiem nowem, ale jako sposób uzupełniania zarobku całych warstw robotniczych jest, w równej mierze, jak nowoczesne zarobkowywanie kobiece, wypływem kapitalistycznej gospodarki. Najlepszym na to dowodem: wzrost prostytucyi w czasach przesileń gospodarczych, zmniejszenie w okresach rozkwitu i większego zapotrzebowania sił roboczych.

Krytyka mieszczańska (patrz prof. Herkner w berlińskiej *Zukunft*) zarzuciła p. Braun, iż zbyt wiele ciemnych farb zużyła na swojej palecie, iż tak smutną, jak malowane przez nią »szare postacie, co w brudzie i kurzu wloką gościńcem żywota ciężkie brzemię pracy«, rzeczywistość chyba nie jest. Ale cyfr jej nikt nie zbił, nikt nie podał sposobu, jak przy danym zarobku potrzeby zaspokoić, a budżet przy tem bez deficytu ułożyć.

Byłoby to zaiste zbyt trudne!

W dwóch starannie ułożonych tabelach daje p. Braun przegląd ustawodawstwa ochronnego dla kobiet, a zatem przepisów, ograniczających dzień roboczy, pracę nocną, normujących wypoczynek kobiet ciężarnych i położnic, ubezpieczenia na wypadek starości, kalectwa i t. d.

W Austryi, gdzie ustawą z r. 1885 zaprowadzonym został maksymalny dzień roboczy, dla robotników bez różnicy płci, większość męzkich robotników zdołała już uzyskać istotny dzień roboczy, krótszy od ustawowego. I w innych krajach syndykaty oddały najemnikom większe korzyści, niż pomoc państwowa kobietom i wszędzie też ich dzień roboczy jest krótszy, niżli »chronionych« kobiet. Niedość, iż w szerokich ramach prawnych dla nadmiernej pracy miejsca jeszcze wiele, niektóre kategorye pracujących n. p. w handlu, na roli, w ogóle pod przepisy ustawodawstwa ochronnego nie podpadają.

Próg domu mieszkalnego, poza którym kryje się zarobkowa praca kobieca w najcięższej swej formie, znaczy dotychczas kres ustawodawstwa ochronnego Europy. Próby, który na tem polu podjęła Ameryka i Australia, niewydały dotychczas żadnych rezultatów. Wszelkie półśrodki muszą już z natury rzeczy być w walce z chałupnictwem bezskuteczne, bo brak jawności ułatwia nadużycia i uniemożebnia kontrolę.

Kobieta zarobkująca musi wyjść za pracą z domu, musi na czas pracy opuścić dzieci i męża, bo tylko pod ochroną publiczności i solidarności, pracą swą lepsze warunki bytu dla siebie i swoich zdobędzie.

Łączenie pracy zarobkowej z gospodarczą w chałupnictwie najlepiej uwidocznione, lecz istniejące na całej linii, było dotychczas tą kulą u nogi, co przeszkadzała kobietom w dotrzymaniu kroku swym męzkim towarzyszom w pochodzie ku kulturze. Poza dniem roboczym na usługach kapitału istnieje dla kobiet drugi okres pracy, wśród ciężkich warunków, nie mniej żmudny i przykry, t. zw. zajęć domowych: gotowania, szycia, szorowania i prania dla swej własnej rodziny. Zajęcia te odbierają biednym, zarobkującym kobietom prawie cały czas wolny, czynią wszelkie skrócenie pracy zawodowej iluzorycznem i dlatego też uspołecznienie gospodarstwa domowego, przerzucenie wszelkich funkcyj gospodarczych poza obręb rodziny, jest nieodzownym warunkiem postępu zarówno dla proletaryuszek, jak dla kobiet z sfer mieszczańskich.

P. Braun nagromadziła w książce swojej bogaty, skrzętnie zebrany i umiejętnie wyzyskany materyał statystyczny i historyczny. W analizie cyfr i faktów odkrywa ścisły i bezpośredni związek kwestyi kobiecej z owym całokształtem gospodarczych i prawno-własnościowych zagadnień, które pod ogólnem mianem »kwestyi socyalnej« tak wybitną odgrywają rolę od paru dziesięcioleci w życiu umysłowem i politycznem kulturnych krajów. Książka jej — to znakomity podręcznik naukowy i przystępny zarazem, który czytelnika nietylko z danym przedmiotem gruntownie zapoznaje, ale otwiera przed nim dalekie widnokręgi...

»Kwestya kobieca« znalazła już tłumaczy na język czeski, rosyjski, francuski i holenderski. Przełożenie jej na język polski byłoby rzeczywistem wzbogaceniem naszej, tak ubogiej literatury naukowej o kobiecie.

Helena Ławska.

KRONIKA.

W sprawie nauczycielek zamieszcza *Gazeta szkolna* następujące bardzo słuszne uwagi: Dyrektorkami szkół wydziałowych i kierowniczkami szkół ludowych żeńskich, są w Krakowie i we Lwowie same kobiety, mimo to szkoły te dobrze prosperują. Nie możemy więc pojąć, dlaczego Władze szkolne mianują na prowincyi coraz częściej mężczyzn kierownikami szkół żeńskich. Przy szkołach wydziałowych tłómaczy się to brakiem kwalifikacyi, ale gdy się ustanawia kierowników szkół żeńskich pospolitych pięcioklasowych jak to świeżo miało miejsce w Ropczycach,

trudno uwierzyć, aby między nauczycielkami brak było kandydatek nawet na tak podrzędne stanowiska? Przecież nauczycielki z reguły nie awansują do wyższej klasy płacy zasadniczej (bo nie mają dzieci!), niechaj więc przynajmniej ten drobny awans będzie dla nich zabezpieczony.

Ważna sprawa dla nauczycielek ludowych. Od pewnego czasu stosują władze szkolne do sierót po nauczycielkach ludowych wprost niesłuszne środki, albowiem pozbawiają je wszelkiego zaopatrzenia, rzekomo z tego powodu, iż wychowanie dzieci należy do ojca! Ta zasada jest zupełnie niesprawiedliwą, albowiem nauczycielki opłacają na równi z nauczycielami wszelkie wkładki emerytalne, mają więc prawo do tych samych, co oni korzyści emerytalnych dla siebie i dla swych sierót, tem więcej, że ustawa szkolna między nauczycielkami a nauczycielami żadnej nie czyni różnicy. Często się też trafia, że nauczycielka, która wyszła za mąż, sama owdowieje, a po swoim mężu żadnej nie pobiera emerytury, ani dla siebie, ani dla dzieci. Cóż się stanie z temi dziećmi, jeżeli i matka umrze? Pójdą na pastwę nędzy bez grosza i jakiegokolwiek zaopatrzenia.

Wobec tego Komitet wiecu nauczycielskiego postanowił na wniosek redaktora *Gazety szkolnej* wystąpić w obronie pokrzywdzonych nauczycielek, trzeba jednak, aby także same nauczycielki o sobie pomyślały i po prostu zasypały Sejm petycyami o usunięcie tej krzywdy dopóty, dopóki słuszne ich żądania uwzględnione nie będą.

Także Stowarzyszenia nauczycielek w Krakowie i Lwowie, Towarzystwa »Szkoły ludowej i t. p. o usunięcie tego upośledzenia już z samych ludzkich względów upomnieć się winny.

Obowiązkiem jest każdej matki wiedzieć, jak czują, czego pragną i do czego dążą młodzi, aby zrozumieć ich ideały i zachować nad duszami ich jaknajdłużej wpływ i moralną władzę. Z tego względu zwracamy uwagę matek na pisemko młodzieży szkolnej, wychodzące we Lwowie pod tyt.: *Promień*. Miesięcznik ten redagowany bardzo dzielnie, jak na takie młode siły, streszcza dążenia naszej młodzieży postępowej, pragnącej iść przez życie pod sztandarem, na którym wypisano wielkie słowo: S p r a w i e d l i w o ś ć. Matki nasze powinny zrozumieć dążenia te i nie pozwolić zatrzeć tego słowa na drogowskazie jedynym, który prowadzi do prawdziwego obywatelstwa i człowieczeństwa.

W Poznaniu nie mówią o niczem innem, jak o sprawie Hayden-Zielewiczów. Wszyscy łamią sobie głowy nad tem, dlaczego właściwie szanowana rodzina Zielewiczów oszpeciła swe polskie nazwisko niemieckim przydomkiem? Dziś, gdy każdy Polak dumny jest z nazwiska o polskiem brzmieniu i walczy z władzami o przekręcanie i niemczenie imion i nazwisk naszych, trzej synowie radcy Zielewicza dobrowolnie przyjęli niemieckie szlachectwo i przydomek. Nader to smutne, tem więcej, że młodzi Z. to ludzie bardzo zdolni i wykształceni i mogli się stać chlubą narodu, a nie ciemną jego plamą. Ogólne oburzenie na ten postępek jest dowodem, że zdrowe zasady górują pośród nas ponad smutnymi wyjątkami.

W Wrocławiu zawiązało się »Towarzystwo Polek« pod wezwaniem opieki św. Anny. Towarzystwo to witamy z radością i życzymy mu najlepszego powodzenia, aby zdziałało jak najwięcej! Celem Towarzystwa jest wzajemne pouczanie się i kształcenie i udzielanie rad i pomocy rodaczkom, mieszkającym w Wrocławiu, a pozbawionym styczności z polskiemi kołami. Chodzi przedewszystkiem o podniesienie mniej oświeconych kobiet, o rozbudzenie w nich obowiązków obywatelskich. Towarzystwo powyższe zwróciło się do wszystkich Polek z prośbą o przesyłanie dla biblioteki Tow. książek pouczających, może i Galicyanki przyjdą im z pomocą. W Krakowie i Lwowie tylu jest uczonych i literatów, że chyba nie odmówią swych wydawnictw dla Wrocławianek, chodzi tylko o pośrednictwo i osobistą agitacyę. W imieniu »Tow. Polek« proszę pań krakowskich, aby pamiętały o bibliotece wrocławskiej i przysyłały książki pod adresem panny Jadwigi Kamieńskiej w Wrocławiu Neue Junkerstr. 5. *M.*

M. GORKIJ.

PIEŚŃ O ZWIASTUNIE BURZY*.

Nad siwą równinę morza wicher spędza szare chmury. Między morzem i chmurami, jako błyskawica czarna dumnie śmiga zwiastun burzy.

To skrzydłami fale muska, to wzbijając się ku chmurom, głośno krzyczy a w tym śmiałym głosie ptaka chmury słyszą radość jego.

W tym okrzyku żądzę burzy, siłę gniewu i płomienie namiętności słyszą chmury i niezłomną wiarę w tryumf w tym okrzyku słyszą chmury.

Mewy jęczą, czując burzę, jęczą lecąc ponad morzem i na dno gotowe ukryć przerażenie swe przed burzą.

Nury także głucho zawodzą, dla nich nie dostępną zgoła rozkosz bojowego życia: huk piorunu je przestrasza.

Głuptak ciało swe spasione trwożnie chowa między skały... Tylko hardy zwiastun burzy lata śmiało i swobodnie nad zbielałem w pianach morzem!

Co raz niżej płyną chmury, coraz ciemniej nad głębiami. Fale hymn śpiewają groźny i w tanecznych skokach dążą na spotkanie pioruna.

Grzmot zawarczał. Z pianą gniewu rozpętane huczą fale i w zapasy idą z wichrem. On je chwyta w swe ramiona i z rozmachem w szale gniewu rzuca na przybrzeżne skały, rozbijając w pył tęczowy wielkie strzępy szmaragdowe.

Zwiastun burzy wciąż szybuje niby czarna błyskawica, niby strzała bije w chmury. Pianę fal skrzydłami muska.

I unosi się jak demon — czarny hardy demon burzy, śmieje się i łka zarazem. Z chmur się śmieje dumny szatan a z radości łka i płacze!...

W gniewie grzmotu czujny szatan dawno słyszy już zmęczenie. Wie on dobrze, że nie skryją chmury słońca. O nie skryją!

Wicher wyje! Grzmią pioruny!...

Błękitnawym ogniem zieją stada chmur nad bezdnią morską. Morze chwyta strzały burzy i w przepaściach swoich gasi. Niby płomieniste żmije odbijają się w wód toni owe strzały — błyskawice.

Burza! Burza wnet rozegrzmi!

Nad morzem ryczącem gniewnie, wśród błyskawic, dumnie lata, śmiały hardy zwiastun burzy; tryumf prorokując woła:

Mocniej, mocniej huczcie gromy!...

Tłum. *Z. Poznańska.*

* Zwiastun burzy — petrel, ptak nadmorski.

WANDA DALECKA.

NIEWIEŚCIE DUSZE.

FRAGMENT PSYCHOLOGICZNY.

Środa.

W kilka tygodni potem podano mi z poczty list.

»Syn Szanownej Pani. Robert, ciężko zasłabł. Uważam za stosowne donieść Pani o tem. Czynię to z polecenia lekarza. Z szacunkiem itd.«

Długo otworzony list trzymałam przed oczyma. Odczytywałam poraz setny te trzy wiersze drobnego pisma, czarne, na dużej ćwiartce papieru. W końcu rozumieć je przestałam i tylko litery tańczyły mi przed oczyma.

— Mamo, co to za list? Dlaczego ręka ci drży? doleciał mię twój głos, ukochana.

Z daleka, skądś bardzo z daleka, dochodził mię ten głos, niespokojny jak głos dzwonu na trwogę. We mnie huczały, nadpływały myśli — jakieś straszne, nieznane myśli. Morze przed burzą tak huczy głucho i tak ciemnieje, zanim huragan szarpać je pocznie. I jak głos burzyka dzwonił w tym huku jeden wyraźny jęk: chory — umiera! Nie powiedziałam sobie jeszcze wyraźnie: »przez ciebie!« Ale już mi to słowo zapowiadało się w tem najściu burzy.

Zanim samowiedza dojdzie do wszechwidzącego rozumu, już tysiące uczuć drga i targa niewidzialnemi nićmi — przeczuciem, trwogą, oczekiwaniem, już wszystkie czują, że idzie — nieszczęście. Zanim wiedziałam, co mogę myśleć i co muszę sobie jasno powiedzieć, już mi te nici-błyskawice szarpały umysł, niezrozumiała trwoga jeżyła włosy i zimnym potem występowała na skronie; a gdzieś w głębi, w ogromnie dalekiej głębi, budził się straszny, z imienia nieznany ból.

»Co to się stało, dlaczego jest chory? Dlaczego ma umrzeć?« Błędnem kołem oplatać zaczęło mię to pytanie, straszliwem kołem, coraz bliżej zaciskającem się dokoła mnie.

Odjechał prawie niepożegnany, po owej okropnej scenie, a teraz chory i ma umrzeć — więcej niż tysiączne razy powtarzałam w duchu te słowa, potem zaczęłam dodawać do nich: Muszę tam być.

— Mamo, przemówże choć słówko! — Obudził mnie znowu głos twój, nabrzmiały już łzami.

Spojrzałam na ciebie; teraz zaledwie zrozumiałam, że oddawna natarczywie mię wołasz. Przestraszona twarz twoja przywróciła mi pamięć otaczających rzeczy.

— Dziecko moje — pocałowałam cię w czoło. — Twój brat chory. Jadę do niego.

Tak, to już wiedziałam. Muszę pojechać natychmiast.

— Pamiętasz zapewne, jak tegoż wieczoru jeszcze upakowałyśmy najnie-

zbędniejsze na kilka dni rzeczy i pierwszym pociągiem, jaki do W. odchodził, pojechałam do syna.

Co ja w tę noc przeżyłam! W tę nieskończoną noc w uśpionym wagonie, czuwając jedna, z oczyma utkwionemi w czarny czworobok okna, z czarnością stokroć straszniejszą w duszy.

Napróżno usiłuję teraz przypomnieć sobie tok i porządek myśli, jakie mię wówczas opadły. Musiał to być jeden chaos, jeden wielki wir, uczuć raczej, niż myśli, raczej zamęt przerażenia, bólu i zgrozy, niż jasnych świadomych siebie pojęć i wniosków. Te później przyjść miały.

A to tylko powiedzieć dziś mogę, że pierwiej, niż wszystko inne, przejął mię ból. I rozumiem, że było to dobrem. Snać serce moje nie było jeszcze tak skostniałem, ani tak przez zło strawionem. Na myśl, że syna stracić mogę, serce to targnęło się i ożyło znowu wszystkiemi uczuciami matki. Dziecko stało się napowrót i drogiem i bliskiem — częścią mojej istoty. Bardziej nawet drogiem, niż każde inne dziecko być może, bom czuła jednocześnie i tę rozłąkę, w której żyliśmy długo, i to, że mi grozi utrata jego zupełna.

Stanęły mi w pamięci — źle mówię, w samowiedzy uczuć, stanęły mi chwile urodzin jego, niemowlęctwa, dzieciństwa — kiedy kochałam go jeszcze — z męką, z goryczą, alem kochała ogromnie. Wszystko inne, wszystko co później nastąpiło: Niechęć, przeszłość w nim żyjąca, rozdział ostatniego zajścia — tego wszystkiego nie mogłam jeszcze wyraźnie uprzytomnić i powiązać dokładnie; czułam zaś i myślałam jedno tylko: Dziecko moje umiera. A potem — potem już nic nie pamiętam. Szalony ból, szalony wir obrazów, wspomnień — domysłów, przeczucia tych wszystkich udręczeń, które dziecko zniosło — a poza tem głuchy, w głębi, rytmiczny jęk, jak szmer ciężko spadającej kropli: To ja — to ja — jam to sprawiła!

Tak mi noc zeszła.

A kiedy dzień zaświtał, w zgorączkowanym mym mózgu dwa tylko jasne pojęcia tkwiły: Umiera — ratować go. To nic, że w rytm mknących przed oknem szarych krajobrazów świtu mknęły, goniły jedno przez drugie gryzące domysły i pytania: Dlaczego umiera? Skąd to przyszło? Jak dawno? Co cierpi? Czego oczekuje? — To nic, że chwilami jak krwawe skry przecinały ciemność duszy ogniowe widma: Czy zdołam uratować? A może zapózno? Może już..? Nie chciałam, nie pozwoliłam sobie zastanowić się nad niemi, bez mojej woli. bez mojej samowiedzy, gdzieś w głębi mózgu, szarpały się one z sobą, a ja tylko w takt kół pędzących powtarzałam z uporem: Umiera — wyratuję, umiera — wyratuję...

Czem bliżej wszakże podjeżdżaliśmy do W., tem głośniej górę brać zaczynało pierwsze z dwóch słów: Umiera — umiera... Może już? I wówczas zdawało mi się, że pociąg wlecze się niepomiernie, że niedołężna służba kolejowa żałuje pary i paliwa, że staniemy w polu i nie dojedziemy dziś do W. Co chwilę spoglądałam na zegarek i ze zdumieniem spostrzegałam, że wskazówki

nie posuwają się prawie, że przez długi przeciąg czasu stoją bez zmiany na dwóch — trzech minutach. Dzień się zatrzymał i świat się zatrzymał, ja jedna tylko w nim żyję, jedna rzucam się w przerażającej martwocie przestrzeni i czasu.

Kiedy dojechaliśmy nareszcie, byłam już jak senna, — nie wiem, jaka siła i czyja wola kazała mi się poruszać i spełniać dokładnie to wszystko, co mię zbliżało do celu mej drogi... C. d. n.

RACHILDE.

SPRZEDAWCA SŁOŃCA.

W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

Pan LAROCHELLE.
PIERWSZY PAN PRZYZWOICIE UBRANY.
DRUGI PAN PRZYZWOICIE UBRANY.
TRZY PANIE ELEGANCKIE (jasne stroje).
PIERWSZY STRÓŻ BEZPIECZEŃSTWA.
DRUGI STRÓŻ BEZPIECZEŃSTWA.
ZBIEGOWISKO I GŁOSY W TŁUMIE.
PRZECHODNIE.

Rzecz dzieje się w Paryżu, na Pont des Arts, u schyłku pięknego dnia jesiennego. Wspaniały zachód słońca. — Nieprzerwany korowód przechodniów.

SCENA JEDYNA.

LAROCHELLE.

(Nadchodzi z głową w dół pochyloną; ręce w kieszeniach, idzie krokiem wolnym, posuwistym, jak gdyby czegoś szukał po ziemi. Staje pod latarnią gazową, opiera się o poręcz mostu. Poza nim słońce zaczyna się kłonić ku zachodowi: Po drugiej stronie przechodzą ludzie bardzo spiesznie, bardzo obojętnie, zdala od niego). Ano, to już do jutra... Albo do przyszłego tygodnia... *(ruch rozpaczliwy ręką)* alboteż nigdy! Czyż można wiedzieć? Tymczasem trzeba ściągnąć rzemień u pasa! *(Rozgląda się dokoła).* I nie litować się to nad tymi ludźmi: nic nie widzą!.. I wszyscy mają pieniądze, które wyczuwam przez sukno ich ubrań... I nie stanie to nawet na tyle, żeby ci wsunąć dwa grosze... Dokąd idą ci ludzie? Czyż ja na przykład dokądś idę? *(Śmieje się).* Jestem w domu, siedzę tu ciągle: ten most, jest mojem domostwem... *(wskazuje na przechodniów)* a oni przechadzają się po moim domu. A przecież trzebaby przynajmniej wstęp opłacić! Ale gdzietam! Ślepym się tylko dobrze tu wiedzie! *(Po chwili milczenia, głosem marzącym):* Widocznie ślepcy doskonale rozumieją się

wzajem. *(Zaczepia pana przyzwoicie ubranego).* Panie... Panie.. *(Tonem nieco zakłopotanym, bardzo naturalnym):* Panie jestem głodny... Proszę też o jakąś jałmużnę.

PIERWSZY PAN PRZYZWOICIE UBRANY.

Znowu? Wszak wam już dałem! *(Przechodzi).*

LAROCHELLE.

(Po dwóch sekundach osłupienia). Tak, znam ten refren... Zawsze mi już dali; tylko, że wówczas było mi Piotr, a teraz Paweł; tak, że ja nic nie dostałem! *(Rozmyślając).* Jest też nas sporo... *(Ironicznie, z odcieniem humoru).* A gdyby nas i tysiąc na ten most przyszło? Przedewszystkiem obchodzi mnie teraz mój żołądek; od dwóch dni nic nie jadłem... Gdybym miał przynajmniej kieliszek do przetrącenia... trochę rumu lub kirschu: kirsch mocniejszy... albo też absyntu; to jeszcze lepiej... Ha! piło się dawniej tego absyntu dosyć!.. Kiedy żołądek był pełny! Psie życie! Lecz na miły Bóg, dlaczego piszą w dziennikach, że ludzie są miłosierni? *(Zaczepia damę w jasnej sukni).* Pani... Pani łaskawa... *(Głośniej, tonem żałosnym).* Zlituj się pani nad biednym robotnikiem, pozbawionym zarobku. Od dwóch dni nic już nie jadłem... *(Młoda, elegancka dama zakreśla ręką zgrabny odmowny ruch i przechodzi. — Larochelle gniewnie wymachuje ręką).* E! idźże sobie do licha, komedyantko! *(Patrzy za nią, uśmiecha się smutnie).* Wcale ładna, istotnie... Nie czuje to głodu, taka ptaszyna... Otworzy tylko dzióbek, a ziarnka zaczną padać; głaszcze sobie pióra i ulatuje... A ja tu muszę zostać! *(Gniewnie).* Ależ u licha, przecież nie mogę śpiewać, po prostu nie umiem, tracę pamięć natychmiast! I wszyscy ci przechodnie, którzy mnie nie widzą... Gdybym miał coś dla nich ponętnego... Ale zdaje mi się, że właściwie strach w nich budzę... No i trzeba jeszcze baczyć, żeby mnie nie zabrali! Nie, w mózgu pustka zupełna, ani cienia pomysłu, a żołądek burczy i ssie.. jakby legion szczurów w kanale! Być kamelotem bez towaru! Co za dziwne rzemiosło. Bo chleb sam, czuję to dobrze, nie wystarczałby mi wcale... Trzebaby mi *(w oczach zapłonęła mu pożądliwość)* teraz pieczeni, soczystej, krwią ociekającej pieczeni, butelki starego bordeaux... *(Z goryczą).* Za dwa grosze cóż dostanę, ani nawet funta chleba. *(Z ożywieniem).* Ach! gdyby ci wszyscy tu wiedzieli, ile mi trzeba powściągliwości, żeby się na nich nie rzucić... Istotnie rzuciliby mi dwa grosze za ten trud... *(Przechodzi obojętnie sierżant miejski).* Aj! zbir! *(Opiera się łokciami na poręczy na sposób szukającego rozrywki człowieka i patrzy na niebo).* Ładny czas. *(Odwraca się).* Trzeba mu było tylko spojrzeć na mnie, a jużbym się znalazł w dziurze! U licha! Co za zachód słońca! Mam jeszcze w oczach tysiące płomyków! *(Ruch wzgardliwy).* Zachód słońca, to zbytek niedostępny dla wszystkich tych kretynów, którzy nic nie widzą... *(Ujmuje sobie głowę dłońmi).* Mój Boże, jakżem głodny! To istotnie przykra choroba, zwłaszcza, gdy człowiek taki zdrów... Bo jestem zdrów, niewątpliwie! Dlaczegoż więc muszę zginąć?.. *(Patrzy na Sekwanę).* Mam ochotę

rzucić się, żeby raz z tem skończyć... *(Cofa się).* Nie, to byłoby zbyt głupie, a niegdyś miałem zbyt wiele dawcipu... Ach! niegdyś, niegdyś, któżby mi był przepowiedział, że tak daleko zajdę!.. Gdy człowiek rzuca się do wody, to widocznie był brudny; jak jestem ubogi, lecz się jeszcze trzymam. *(Przypatruje się sobie).* Zleciałem w dół w sposób całkiem naturalny, logiczny, bo widocznie było pisane... Brak zajęcia, brak dochodów, za dużo myśli, no więc! *(Tonem marzącym).* Ach! myśli dziwaczne.. I czasem piłem: to pocieszą... *(Przechodzi znowu pierwszy pan przyzwoicie ubrany z bukietem owiniętym w biały manszet. Kamelot wyciąga rękę).* Panie... Panie... Dobry panie... Zapewniam pana, jestem chory, od dwóch dni nic nie jadłem, proszę sobie wyobrazić... *(Idzie za nim i mówi tonem bardzo pokornym).* Panie, proszę pana, proszę mnie słuchać... Istotnie nie kłamię... *(Żałośnie).* Wspomóż mnie pan, proszę tylko o kawałek chleba...

PIERWSZY PAN PRZYZWOICIE UBRANY.

(Łagodnie). No, przyjacielu, dajcie mi spokój. *(Oschle).* W waszym wieku, cóż znowu! Trzeba pracować!

LAROCHELLE.

Ma pan słuszność, drogi panie, lecz proszę mi powiedzieć, co mam robić... Nie mogę znaleść niczego.

PIERWSZY PAN PRZYZWOICIE UBRANY.

(Uwalnia się ruchem znużonym). Spieszno mi, przyjacielu, proszę do innych się zwrócić.

LAROCHELLE.

(Natarczywie, głosem błagalnym). Bukiet pański... bukiet... Możebym go zaniósł?.. Proszę mi go dać, zaniosę go za dziesięć susów, za pięć... za dwa.

PIERWSZY PAN PRZYZWOICIE UBRANY.

(Z westchnieniem). Stanowczo już w tym Paryżu nie będzie można mieszkać.

LAROCHELLE.

(Głosem rozżalonym). Zlitujcie się nad biednym robotnikiem, który od dwóch dni już nic nie jadł... *(Natężając głos).* Panowie i panie, zlitujcie się nad biednym robotnikiem, który nic nie jadł od ośmiu dni. *(Przechodzi młoda elegancka pani, która się uśmiecha).* No cóż tę znowu chwyciło? A! prawda, pomyliłem się. *(Idzie za młodą panią, dopędza ją).* Pani... Pani... Och! pani, proszę się zlitować... Pani taka piękna... Trochę więcej tkliwości dla ubogich... Przecież nie chciałabyś pani, abym kradł... Proszę mi dać cośkolwiek... Pani... Błagam panią...

MŁODA ELEGANCKA PANI.

(Przerażona tą natarczywością). Puśćcie mnie... Proszę mnie nie zatrzymywać, inaczej zawołam agenta. *(Znika).*

LAROCHELLE.

Nie, to rzemiosło mnie już nudzi! Gdy się im przynajmniej coś sprzeda, można im rzucić głupstwo w twarz. *(Przechodzi drugi policyant obojętnie. Kamelot odwraca się i opiera na poręczy mostu).* Jeszcze mnie zamkną... *(Melancholijnie).* Gdy pomyślę, czem byłem... Dziś, że odemnie stronią, rozumiem: wstydzą się mojej brzydoty... Na milę czuć odemnie nędzę, i sam się zapowietrzam. A przecież naprawdę mi się zdaje, że nie jadłem już od tygodnia... A ta waryatka, która się z tego śmieje! Ach! wybaczam im! rozumiem ich... Meżczyźni się spieszą, kobiety są nerwowe, a ja im oto przeszkadzam, staję w drodze. *(Z wściekłością).* Lecz gdzież wreszcie mam się schronić? Nie mam już arkuszy listowego papieru, ani ołówków, ani zabawek dla dzieci, nic!.. Mogę im dać cały mój czas, ale oni go nie potrzebują... Och, zamorduję kogoś, to pewne. *(Robi ruch, jakby dla przytrzymania się u poręczy, po chwili jednak prostuje się dumnie).* Ach, co za kanalie... *(Chwila milczenia).* A jednak to poczciwi ludzie!.. lecz nic nie widzą, ani mojej biedy, ani nieba... *(Zatacza się).* Ach! jeszcze upadnę... Mieni mi się w oczach... To to przeklęte słońce, za długo w nie patrzyłem... Rzekłbyś, żem się czegoś napił... A to tymczasem słońce, ta żółta kula, czerwona, te płomienne chmury... Oczy jakby mi krwią nabiegły, a w mózgu czuję szum... *(Oddycha ciężko, zdejmuje i znowu wkłada kapelusz, obciera czoło rękawem).* Mija to jakoś... To widocznie zawrót... Mam się lepiej, mniej jestem głodny... Jakaż to okrutna rzecz, być głodnym, a jaka piękna, patrzeć na słońce!... Dawniej... ale cóż mi to jest? Dawniej nazywałem je Bogiem biednych, jak gdyby biedni je widzieli! *(Wskazując na przechodniów).* A ci! Pomyśleć, że nic nie widzą, że nikt nic nie widzi! Ach! Żałuję ich z całego serca... *(Nagle zaczyna machać rękami, jakby w natchnieniu, potem kurczowo chwyta się poręczy mostu, staje na palcach, przeobraża się, wpada w ekstazę).* Rzekłbyś, że rozzażony palec spoczął mi na czole... *(Twarz kamelota wyraża szaloną radość).* Mam więc, mam!... Ach! co za bajeczny pomysł! *(Śmieje się fałszywie).* Widowisko będzie nie gorsze, ni lepsze od innego, na Boga... *(Przechodniów coraz więcej: wymijają go, czasem trącają. — Nagle wyciąga ramiona, rzuca kapelusz na ziemię i staje w postawie kamelota, który ma ogłosić swoje dziwy; ale oprócz tonu żartobliwego, słychać w jego głosie ponurą ironię: zdaje się, jakby mówił po pijanemu, lub jakby go ogarnął szał).* Panie i Panowie... nie mam papieru listowego na sprzedaż, ani ołówków, ani zegarków; innym to zostawiam!.. Nie mam pierścienia — na — przytrzymywanie kluczy: innym to zostawiam!.. Panie i Panowie! Nie sprzedaję pastylek seraju dla buduarów, nie mam wirującego motylka, uciechy dziatek i spokojności rodziców: inni to wam pokażą!.. Ani czerwonego balonu, który nigdy nie pęka, chyba w wypadkach nieprzewidzia-

nych: to dla innych!.. Zbliżcie się, panie i panowie! Nie, nie sprzedaję losów ani wróżb, z których wyczytacie swoją przyszłość, co was spotka w przyszłości, w obecności i w przeszłości. Nie! Stokroć lepszy mój towar, powiadam! Proszę się zbliżyć, panie i panowie! Obejrzycie, nie tykając palcami, a to nic nie kosztuje!.. Baczność, zaczynam!.. Zbliżcie się, albowiem nie gryzę, ani nie parzę!.. *(Urywa, żeby nakreślić na ziemi trzy wielkie łuki).* Proszę się zbliżyć, panie i panowie!.. *(Przechodnie stają, wahają się, potem tworzą koło: w pierwszym rzędzie tradycyjny chłopiec z cukierni z tablatą na głowie. Tłum rośnie z każdą chwilą, przybywają także drugi pan przyzwoicie ubrany i trzecia dama elegancka w jasnym stroju, ale widzą tylko głowę kamelota).* Nuże, zbliżcie się, nie ma się bać czego: jeszcze nie zażądałem zapłaty za miejsce!.. Panie po prawej, panowie po lewej, jedna cena, równość po obu stronach!.. Trzeba widzieć pracownika przy robocie! Trzeba sądzić po jego sposobie przyspasabiania artykułu!.. Baczność! Albowiem nie będę wam kłamał ani was oszukiwał, znajdzie się na kupno dla wszystkich, o tak, i nie będzie nic drogiego, ani też nie będzie nic ciężkiego, zaniesiecie z łatwością do domów... Zbliżcież się, oto chwila nadchodzi! Oto chwila nadchodzi! Znajdzie się tego dość dla bon, i będzie dla wojskowych! I dla matek rodziny, nie wyłączając niezamężnych, dla małżonków, dla wdów i wdowców! Zbliżcie się, panie i panowie! Jeszcze, jeszcze... Towar, który sprzedaję, jest towarem nadzwyczajnym, który nie ma sobie równego na całym świecie, jestto artykuł jedyny, JEDYNY!.. I, zapewniam, będzie go dość dla wszystkich, gdyby się tu nawet sto tysięcy pań i panów zebrało, słowo honoru na to wam daję!.. *(Nadstawia niby ucho na prawo i na lewo, potem znowu jeszcze mocniejszym głosem zaczyna).* Słyszę, że niektórzy mówią: »A jakże, zawsze ten towar kamelotowy, skórka zajęcza w cieście! *(Śmieje się).* Otóż nie, moi państwo! Towar, który sprzedaję, jest, jak to już miałem zaszczyt wam powiedzieć, artykułem JEDYNYM... w swoim rodzaju!.. Jestto przedmiot niezrównany, i wnet wam to udowodnię... *(Szmer w tłumie).*

GŁOS Z TŁUMU.

Ach, co za dziwy, pokażcie więc już raz tę kamelotę!

LAROCHELLE.

To nie papier listowy dla zakochanych, o nie: to miłość sama!.. I nie jestto ołówek piórkowy niemineralny, o nie: strzały o ostrzach płomiennych, które granatowym piszą atramentem i jaśniej niż w książkach...

GŁOS Z TŁUMU.

Strzały piszące.

LAROCHELLE.

To nie remontorar niklowy, pospolity remontoar po półtora franka, to wielki zegar, ten, który kieruje wskazówką Giełdy!.. To nie pierścień na klucze:

lecz klucz, który otwiera wszelkie bramy bez baczenia na rygle! To nie pastyle seraju: lecz wszystkie wonności Wschodu razem wzięte!.. To nie motyl wirujący, lecz istota, która w wir go wtrąca i mienić mu się kolorkami każe!.. To jedyny olbrzymi balon czerwony, który nie pęka i nie pęknie nigdy!.. Hola! pamiętajcie to dobrze... A będzie go dosyć dla wszystkich: przysiągłem!.. Ach nie, to nie wróżba żadna: to przyszłość, obecność, przeszłość, ziemia i niebo, szczęście i nieszczęście, kamień filozoficzny, jednem słowem!

GŁOS Z TŁUMU.

Co to takiego?

LAROCHELLE.

Zbliżcie się, zamknijcie krąg! Za niespodziankę dacie, cokolwiek zechcecie!.. Zbliżcie się, panie i panowie!.. Jestem jedynym kupcem, a interes mój nie znajduje się na rogu placu: jest tu, wystawiony na cztery wiatry, tu pod chmurami; ja jestem jedynym sprzedawcą, a sprzedaję wam... proszę mnie dobrze rozumieć... S p r z e d a j ę w a m S ł o ń c e! *(Wskazuje na niebo, tymczasem wznosi się krzyk, hałas, śmiech).*

GŁOSY RÓŻNE.

— Ho! ho!

— Co za blaga, panowie!

— Ależ ma słuszność. To bajeczne!

— Podnieście go!

— Wyrzućcie opryszka!

— Pst, dość hałasu: pokaż nam ten towar.

LAROCHELLE.

(Wyciąga rękę, czyniąc nowy, pełen przepychu gest, w kierunku zachodzącego słońca; postawa jego pełna godności, a głos bardziej dźwięczny). Panowie, daleko odemnie myśl, jakobym wątpił o waszych inteligencyach... *(Uśmiecha się nieznacznie).* Ale niewątpliwie są tu osoby, które nie zrozumiały... Czyż nie należy wyjaśnić widowiska tym, którzy nie rozumieją?.. Rzemiosło moje polega na pokazywaniu, innych ludzi rzemiosło na niewidzeniu!.. Patrzcie więc, patrzcie, panie i panowie, jakie jest spokojne: ja je poskromiłem! Chwyciłem je za wielkie żółte rogi, a ono się kładzie!.. Patrzcie bez obawy: to potwór bardzo przytulny a jeżeli mu czasem zieje ogniem paszcza przeogromna, to nie pochłania nigdy nikogo, chyba kwiaty!... Panowie marzący o bogactwach, oto złoto! *(Rozognia się).* Kobiety, marzące o pięknie, oto zwierciadło wszelakich odblasków olśniewających!.. I wy, małe dziatki płaczliwe, oto róże, możecie niemi sobie buzie posmarować!.. Rozkochani, oto płomienność! Rozkochane dziewice, o to duma! Poeci biedni, o to rymy zaróżowione; Wojownicy, o to wszelkie

sztandary tryumfu!.. A wy, niezliczone głodomory, o to wszechświatowa biesiada z różowem mięsiwem!.. Patrzcie, nie skłamałem wam wcale: spada zeń złoto i spadają klejnoty złocone!.. Padajcie kaskadą, napoleony! Wybuchajcie, rubiny ogniste uroczystości narodowych! Płyńcie, fale win bursztynowych, cieknące z purpurowych winobrań! Strzelaj w górę, szampanie niebiański! Oto upojenie ludzi pławiących się we krwi bogów!.. A wy, którzy płaczecie, zhańbieni lub grzeszni, oto łzy dyamentowe, oto rosa przeczystych pereł, oto krople miodu!.. Patrzcie wszyscy! Jestem wspaniałomyślny: ci, którzy nie zechcą zapłacić, tym dam za darmo słońce!.. *(Wkłada kapelusz i stoi z oczyma wpatrzonemi w dalekie słońce. Nowy rozgwar w tłumie, oklaski, krzyki, sprzeczki. Grosze padają do stóp kamelota).*

GŁOSY RÓŻNE.

— Wszystko to blaga!

— Dowcipnie zarabiać w ten sposób!

— A ja uważam, że zarobił sobie uczciwie!

(Dwaj policyanci zjawiają się, chcą widzieć kamelota poprzez szeregi zbiegowiska).

PIERWSZY STRÓŻ BEZPIECZEŃSTWA.

Proszę się rozejść, panowie!.. Stajecie w drodze przechodniom!.. Przeklęty obieżysasie.

DRUGI STRÓŻ BEZPIECZEŃSTWA.

Zawsze się jeszcze jakiś znajdzie... Cóż znowu ten sprzedaje?

DRUGI PAN PRZYZWOICIE UBRANY.

Nic takiego... Musiał dobrze sobie podpić.

TRZECIA MŁODA ELEGANCKA DAMA.

Utrzymuje, że sprzedaje jakieś słońce, lecz go nam nie pokazał: pewnie nazywa tak jakąś drobną ciekawostkę egipską. *(Staje na palcach, żeby widzieć).* Nie, nic nie widzę. *(Stróże bezpieczeństwa, rozpychają tłum).* Ale proszę go nie zamykać.

LAROCHELLE.

(Na stronie). Ach! zbiry!

PIERWSZY STRÓŻ.

Cóż tu pan robi takiego?

LAROCHELLE.

(Zgarnia grosze). Proszę was, panowie, dajcie mi zgarnąć te grosze... Jest ich tyle...

DRUGI STRÓŻ.

A gdzie ten towar?.. Cóżeś mi to pan opowiadał?

PIERWSZY STRÓŻ,

Ano, żebrał poprostu... Może zmykać co pary, bo zamkniemy!

LAROCHELLE.

(Prostuje się, patrzy zdumiony, jakby nie wierzył, że tak gładko mu pójdzie; potem odwraca się do słońca i odkrywa głowę). Dobranoc i dzięki, mój stary druhu! *(Odchodzi).*

(Tłum się rozprasza, zostaje kilka osób, kilku młodych ludzi, marząco spoglądających na słońce).

PIERWSZY STRÓŻ.

Panowie, rozejść się! *(Młodzi rozchodzą się).* Czegóż tak oczy wyłupują? *(Patrzy przez chwilę; towarzysz jego czyni tosamo).* Czy ty co widzisz?

DRUGI STRÓŻ.

Nie, nic.

PIERWSZY STRÓŻ.

(Patrząc w stronę mostu, gdzie zniknął Larochelle). Może nie dobrze było go puścić wolno, tego błazna!